

Anna Wasak, Robert Mazurek

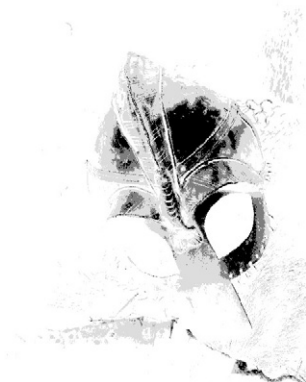
Radzyńskie spotkania z podróżnikami : cz. 1

Radzyński Rocznik Humanistyczny 11, 247-264

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.



Anna Wasak
Robert Mazurek

Radzyńskie spotkania z podróżnikami. Cz. 1

„Radzyńskie spotkania z podróżnikami” to wspólne przedsięwzięcie Radzyńskiego Stowarzyszenia Inicjatyw Lokalnych i Szkolnego Koła Krajoznawczo-Turystycznego PTTK nr 21 przy I LO w Radzynie Podlaskim.

Głównym celem organizowanych spotkań jest poznanie dalekich, egzotycznych lub też tajemniczych miejsc, odległych nie tylko geograficznie, ale również kulturowo. Zapraszani goście to pasjonaci, którzy w niekonwencjonalny sposób przemierzają świat, marzą i nie boją się dążyć do realizacji tych

marzeń. Dzielą się wrażeniami i przeżyciami ze swoich podróży, opowiadają o trudnościach, które musieli pokonać, a także o zabawnych sytuacjach. Relacje z wypraw ubarwiają pokazy slajdów, zdjęć i filmów. Podczas „Radzyńskich spotkań z podróżnikami” jest też czas na wymianę doświadczeń i swobodną dyskusję, podczas której można uzyskać wiele praktycznych informacji.

Od lipca 2012 r. w ramach „Radzyńskich spotkań z podróżnikami” odbyły się cztery spotkania.

Lp.	Podróżnik	Temat, termin i miejsce spotkania
1.	Michał KruszoŃa	„Uganda. Jak się masz, muzungu?” 21 lipca 2012 r. Biblioteka Pedagogiczna w Radzynie Podlaskim
2.	Robert Maciąg	„Świat przygody rowerowej” 21 września 2012 r. Sala widowiskowo-kinowa ROK
3.	Jarosław Kret	„Planeta według Kreta” 7 grudnia 2012 r. I LO w Radzynie Podlaskim
4.	Stefan Czerniecki	„Śladem szeptu amazońskiego potoku” 8 marca 2013 r. Miejska Biblioteka Publiczna w Radzynie Podlaskim

O potrzebie organizowania „Radzyńskich spotkań z podróżnikami” świadczy duże zainteresowanie mieszkańców naszego miasta i powiatu oraz pozytywne opinie jego uczestników.



Michał Kruszona – urodzony 11 lipca 1964 r. w Poznaniu. Historyk, muzeolog, absolwent Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, ukończył studia podyplomowe w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Pracuje w Muzeum Zamku Górków w Szamotułach. Wcześniej pracował jako nauczyciel historii, sprzedawca, dziennikarz „Głosu Wielkopolskiego” oraz w Domu Pomocy Społecznej dla mężczyzn niepełnosprawnych umysłowo. Publikował między innymi w miesięcznikach „Zwierciadło” i „W drodze”. Autor książek i esejów: „Rumunia. Podróże w poszukiwaniu diabła” (ponad 15 tys. sprzedanych egzemplarzy), „Kulturalny atlas ptaków”, „Huculszczyzna. Opowieść kabalistyczna” oraz „Uganda. Jak się masz, muzungu?”

O Ugandzie w Radzynie

Na zaproszenie Radzyńskiego Stowarzyszenia Inicjatyw Lokalnych oraz Szkolnego Koła Krajoznawczo-Turystycznego PTTK nr 21 przy I LO w sobotę 21 lipca Radzyń Podlaski odwiedził podróżnik Michał Kruszona. W spotkaniu, które odbyło się w Bibliotece Pedagogicznej, wzięło udział ponad czterdzieści osób. Tym samym zainau-

gurowano cykl imprez pod nazwą „Radzyńskie spotkania z podróżnikami”.

Michał Kruszona jest historykiem, podróżnikiem, muzeologiem, dyrektorem Muzeum Zamku Górków w Szamotułach, a także autorem kilku książek i esejów, m.in.: „Rumunia. Podróże w poszukiwaniu diabła” (2007), „Kulturalny atlas ptaków” (2008), „Huculszczyzna. Opowieść kabalistyczna” (2010) czy „Uganda. Jak się masz, muzungu?” (2011). Właśnie relacja z podróży do Ugandy była tematem spotkania w Radzynie. Michał Kruszona w przystępny i interesujący sposób opowiedział o swoich doświadczeniach i przygodach, które przeżył w tym kraju. Jego wizyta w Ugandzie przebiegała pod hasłem: „Jak najbliżej zwykłych ludzi”. Unikał miejsc typowo komercyjnych, luksusowych hoteli czy drogich rezerwatów stworzonych niejednokrotnie dla turystów z Zachodu.

Podczas spotkania był też czas na pytania, których padło bardzo wiele. Radzynieaków interesowały różne kwestie, m.in. te dotyczące sposobu porozumiewania się, kosztów zorganizowania takiej wyprawy czy też pozycji społecznej mężczyzn i kobiet. Każdy mógł nabyć książki Michała Kruszony, jak również uzyskać okolicznościową dedykację.

Robert Mazurek

Afryka urzeka, ale może też przerazić.

Z Michałem Kruszoną rozmawia Robert Mazurek

Do Radzyna przyjechałeś z opowieściami o Ugandzie. Dlaczego akurat Afryka?

Co było dla Ciebie inspiracją do zorganizowania wypraw na ten kontynent?

Być może zabrzmiało to mało przekonująco, ale do Afryki pojechałem przez... przypadek. Zadzwonił do mnie kolega ze Szczecina z pytaniem, czy nie pojechałbym z nim do Afryki. Nie planowałem podróży na ten kontynent, ale jeśli już nadarzyła się okazja przebywania przez dłuższy czas z dawno niewidzianym przyjacielem, do tego z dala od Polski, całkowicie „na wariackich papierach”, odpowiedź mogła być tylko jedna. Ze swojej strony zaproponowałem Ugandę. Jeśli już mamy jechać, to niech to będzie prawdziwe serce Afryki: kraj z niezwykle przyrodą, pełen afrykańskich plag, od malarii i AIDS, po konflikty, spuściznę po dyktatorze, jakim był Idi Amin i z najsmutniejszą biedą Afryki, jaką są bezdomne dzieci. Tak było za pierwszym razem, za drugim, pół roku później, jechaliśmy już do naszych ugandyjskich przyjaciół.

Co najbardziej zaskoczyło Cię podczas pierwszego wyjazdu do Ugandy?

Owe „biedy Afryki”. Wspomniana bezdomność dzieciaków w Kampali, slumsy pełne ludzi dorywczo pracujących, krzątających się jak w mrowisku. Kampala zmieniła się od czasu Kapuścińskiego, który pisał o jej mieszkańcach siedzących w marazmie i bez celu. Dzisiaj wszyscy za czymś biegną, to sprzedając, to proponując różne usługi, choćby czyszczenie butów czy przeniesienie bagażu. To bardzo pozytywna zmiana. Ludzie są ambitni i chcą pracować. Z pierwszych wrażeń nie zapomnę też kempingu w stołecznej dzielnicy Bugolobi. Wchodziło się tam przez wysoką żelazną bramę, do tego ogrodzony był drutem kolczastym, przy bramie stał strażnik z bronią w ręku. Było to dość szokujące, ale trwało tylko chwilę. Mieszkańcy miasta okazywali się bez wyjątku życzliwi i gościnni. Pierwsze wra-



Fot. Paweł Żochowski

żenie zatarto się po kilkunastu godzinach. Później, gdy dalej wędrowaliśmy w głąb Ugandy były już same urzeczenia, zarówno ludźmi jak i przyrodą.

Podczas radzyńskiego spotkania wspomniałeś, że niektórych faktów o Ugandzie nie pozna się w mediach, a można wiedzę o nich zdobyć jedynie z pierwszej ręki. Czego dowiedziałeś się w ten sposób?

Czytanie o afrykańskiej biedzie, a zajrzenie jej w oczy np. w ośrodku dla chorych na AIDS w Masace, to dwie różne rzeczy. Afryka urzeka, ale może też przerazić, gdy spotka się na drodze ludzkie zwłoki, które robią wrażenie tylko na przybyszach z zewnątrz i tak leżą do wieczora, aż ktoś taskawo je pochowa, ot najlepiej niedaleko tuż obok miejsca, gdzie leżały. Ponad wszystko dowiedziałem się, co bardzo mnie zaskoczyło, że prości, biedni ludzie w wioskach takich jak Kakooge, potrafią mieć dla gości otwarte serca, chcąc pokazać wszystko, co mają, a jest tego niewiele. Zdarzają się i tacy, którzy nie mają nic albo tylko plastikową miskę na wodę.

Pisząc o Afryce często opisuje się ją albo od konfliktu do konfliktu, albo co mnie osobi-

ście drażni, jako sielską krainę pełną stoni i innych dzikich zwierząt. Tymczasem zdecydowana większość mieszkańców afrykańskiego miasta a także wiosek nigdy nie widziała stonia czy lwa. Dla mnie prawdziwa Afryka znajduje się nie na sawannie, lecz w biednych domach i w ludzkich duszach, często pełnych goryczy i poczucia krzywdy.

Będąc w Ugandzie na pewno smakowałeś regionalnej kuchni. Jak polskie podniebienie reaguje na afrykańskie potrawy?

Mam zaprawiony żołądek, rzadko miewam z nim problemy a i podniebienie niezbyt wybredne. Przemierzając Ugandę z miejsca na miejsce jedliśmy to, co było pod ręką. Na wyspach Ssesse na jeziorze Wiktorii były to głównie ryby, w wioskach kozina, czasem kurczak, do tego ryż i kasava. Ta ostatnia rzeczywiście trudna jest do przełknięcia. Zawiera tak dużo skrobi, że klei się do podniebienia. Wszystko, co jedliśmy, było ostro doprawione miejscowymi ziołami. To wbrew pozorom nie jest codzienna dieta Ugandyjczyków, mięso je się tam od wielkiego święta, nas po prostu było na nie stać. Cena takiej „luksusowej” potrawy nie przekraczała trzech-pięciu dolarów, czyli dziesięciu-piętnastu złotych. Nigdy nie odmawialiśmy poczęstunków, nawet tych szalonych jak prażone owady. Hm, może nie było to do końca rozsądne, dla pewności, zgodnie z zaleceniami pewnego polskiego lekarza, dzień kończył się zazwyczaj sporym łykiem whisky. Jak nie było innej, to afrykańskiej.

Czy Europejczycy łatwo zaaklimatyzować się w Afryce? Mam na myśli nie tylko upały, ale również tamtejszy styl życia.

Myszę, że nie ma reguły. Spotkałem kilku białych, którzy osiedlili się w Ugandzie,

wyglądali na szczęśliwych. Myszę, że najbardziej im doskwiera pewna tymczasowość: w Afryce nie warto nic planować, można się bowiem bardzo rozczarować. Co mnie zaskakiwało, to stosunek do czasu, liczy się tylko czas przeszły i teraźniejszy. – Kiedy przyptynie prom? – takie pytanie zadane nad jeziorem Wiktorii budziło zdziwienie. Jak przyptynie to będzie, nie warto się niecierpliwić, lepiej położyć się w cieniu bananowca i zdrzemnąć.

Jak powszechnie wiadomo, podróże kształcą. Czego Ciebie nauczyła Afryka?

To powszechna prawda. I nie jest to żaden truizm: kształcą i to bardzo. Chciałbym powiedzieć, że nauczyła mnie szacunku dla biednych ludzi, ale wydaje mi się, że tę cechę posiadałem już dawno temu. Nabyłem ją podczas peregrynacji po rumuńskich Karpatach. Potwierdziła się moja podróżnicza zasada, która mówi, że gdziekolwiek się jest, należy pamiętać o tym, że jest się gościem i narusza się czyjąś prywatność, czasem wręcz intymność. To bardzo ważne podczas robienia zdjęć, których robię sporo i często są na nich ludzie. Nie strzelaj z aparatu na oślep, najpierw podejdź, zagadaj, uściśnij dłoń, nawet tę brudną, a jeśli się nie da, to choćby się uśmiechnij i tak przełamujesz pierwszą barierę.

Zatem Afryka nauczyła mnie szacunku i potwierdziła zasadę, że ludzie z natury są dobrzy. Deprawują nas często politycy i media, w pełnej konfliktów Afryce jest to widoczne niczym w soczewce. Łatwo tam manipulować ludźmi i - co strasznie boli - także dziećmi wykorzystywanymi nie tylko do niewolniczej pracy, ale także do noszenia broni i zabijania.

Na podstawie swoich przeżyć napisałeś książkę „Uganda. Jak się masz, muzungu?” Czy możesz coś więcej o niej powie-

dzieć?

To ciężkie zadanie. Powiem to, o czym już wspomniałem: nie jest to książka o dzikich zwierzętach, choć też w niej takie występują, nie jest o wojnie w Ugandzie, choć też ona w książce jest. Mam nadzieję, że jest o zwykłych ludziach uwikłanych w afrykańską codzienność. Przeczytałem niedawno powieść Patricka Bensona: „Lecz zabije rzeka białego człowieka”. Jest w niej prawdziwa Afryka, mało romantyczna, bez zachodów słońca nad sawanną lecz taka, jaką widzą na co dzień Afrykańczycy. Osobiście buntuję się wobec wszelkich przejawów bezkrytycznych zachwyty nad Afryką. Ugandyjczycy chcą, abyśmy widzieli ich takimi, jakimi są naprawdę - zmagających się z nietatwą codziennością.

Czy planujesz już kolejną wyprawę?

Oj, tak! W zeszłym roku byłem nad Wołgą, można mnie też spotkać w rejonie Morza Czarnego, od Rumunii po Gruzję. O tym regionie chcę napisać w następnej książce: „Czarnomorze. Wzdłuż wybrzeża, w poprzek gór”. Zimą planuję... opowiem gdy wrócę.

Dziękuję za rozmowę.



Robert „Robb” Maciąg – urodzony 21 stycznia 1974 r. we Wrocławiu. Z wykształcenia - nauczyciel specjalny. Z pasji - podróżnik i fotograf. Po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Gdańskim wyjechał za granicę. Od 2010 roku mieszka znów w Polsce, w okolicach Jeleniej Góry, w Krainie Wygasłych Wulkanów. Uwielbia fotografować ludzi.

Laureat Podróżnika Roku miesięcznika Podróże i TRAVELERA miesięcznika National Geographic. Autor „Rowerem przez Chiny, Wietnam i Kambodżę”, „Rowerem w stronę Indii”, „Tysiąc szklanek herbaty”, „Podręcznik przygody rowerowej” oraz licznych artykułów prasowych.

Na co dzień wraz z żoną - Anią prowadzą warsztaty dla szkół oraz fundację „Szkoły na końcu świata”.

Azja i Indie w Oranzerii

„Mam nadzieję, że pana opowieść rozbudzi w młodzieży marzenia o dalekich podróżach i życzę, aby te marzenia się spełniły” – dziękując Robertowi Maciągowi za spotkanie, powiedział dyrektor I LO Tadeusz Pietras. W piątkowe przedpołudnie 21 września Oranzeria wypełniła się uczniami z Radzyna, Drelowa i Woli Osowińskiej, którzy z zaciekawieniem wysłuchali barwnej opowieści Roberta Maciąga o dalekich podróżach do Azji Środkowej i Indii, jakie odbył on na rowerze.

Na pewno w pamięci uczestników spotkania pozostały prezentowane podczas pokazu fotografii niezwykle „księżycowe” krajobrazy – nieogar-

nięte przestrzenie pustynne, prawie jednobarwne, z których emanował niewzruszony spokój, niemal „widać” było ciszę. Drugim, może nawet ważniejszym wątkiem opowieści o Azji, były spotkania z ludźmi – tymi zwykłymi, spotykanymi po drodze. A jednak niezwykle: otwartymi, życzliwymi, niezwykle gościnnymi, ciekawymi świata. – W zamian za gościnność prosili nas o tabletki od bólu głowy i opowieści o naszym kraju: chcieli wiedzieć, skąd przybywamy, jak nam się żyje – wspominał Robert Maciąg. Z humorem opowiadał o zaproszeniach „na herbatę”, które okazywały się pretekstem do zatrzymywania gości nawet kilka dni. – Byliśmy dla nich czymś w rodzaju telewizji, źródłem wiadomości o świecie.

Podczas omawianej wyprawy podróżnicy przejechali rowerami Syrię, Iran, Pakistan, Uzbekistan, Pamir, Indie.

Okazuje się, że rower to wspinały środek lokomocji, którym można dotrzeć tam, gdzie inne pojazdy nie mogłyby dojechać, ułatwiający kontakty międzyludzkie, otwierający serca i domy.

Spotkanie z Robertem Maciągiem zorganizowało Radzyńskie Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych oraz Szkolne Koło Krajoznawczo-Turystyczne PTTK nr 21 przy I LO w Radzynie. Obecny na spotkaniu prezes RaSIL Józef Korulczyk podziękował Robertowi Maciągowi za ciekawą prezentację, a Robert Mazurek zaprosił na kolejne spotkanie z cyklu „Radzyńskie spotkania z podróżnikami”. – Głównym ich celem jest poznanie dalekich, egzotycznych, tajemniczych miejsc, odległych geograficznie i kulturowo. Zaproszeni goście to pasjonaci, którzy w niekonwencjo-

nalny sposób przemierzają świat, marzą i nie boją się dążyć do realizacji tych marzeń.

Anna Wasak

Najtrudniejszy jest dzień, gdy kończą się pieniądze i trzeba wracać do domu.

Z Robertem Maciągiem rozmawia Robert Maciąg

Skąd się wziął Twój pomysł na wyprawy rowerowe?

Wszystko zaczęło się zupełnie przypadkiem, jak najfajniejsze rzeczy w życiu. W wieku 18 lat miałem problemy z kolanami. Wtedy lekarz zalecił mi jazdę na rowerze. Zacząłem od dojazdów do szkoły. Później były pierwsze wakacje, na które planowałem wyjechać wspólnie z moją ówczesną dziewczyną. Gdy okazało się, że nie mamy pieniędzy na pociąg, zdecydowaliśmy, że pojedziemy nad morze rowerami. Tak wszystko się zaczęło.

Czy były takie miejsca, do których udało Ci się dotrzeć tylko dzięki rowerowi?

Przede wszystkim był to Pamir w Tadżykistanie, gdzie nie istnieje komunikacja publiczna. Wszyscy turyści, którzy tam docierają, używają rowerów albo motocykli. Z kolei w Chinach prawo jest takie, że jedynym własnym środkiem transportu, jakim można podróżować, jest właśnie rower.

Co jest dla Ciebie najtrudniejsze podczas tego typu wypraw?

Najtrudniejszy jest dzień, kiedy okazuje się, że kończą się pieniądze i trzeba wracać do domu.



Fot. Grzegorz Blicharz

Indie, Azja Środkowa – mówi się, że jest to bardzo niebezpieczny świat, że trzeba wszędzie uważać. Czy podczas Twoich wypraw nie spotkało Cię nic złego?

Zacznę od tyłu – podczas moich wypraw nie spotkało mnie nigdy nic złego, a jeżeli były jakieś drobiazgi, to ja już ich nie pamiętam. Siedzę przed tobą cały i zdrowy, mam dwie ręce i dwie nogi, nie mam połamanych żeber. Jestem najlepszym dowodem na to, że to są dobre i bezpieczne miejsca. Ten zły obraz kreują nam media, a nie prawdziwe życie. Istnieje jakaś opinia, że gdzieś tam daleko to jest tylko źle. A przecież po Warszawie wieczorem też strach jeździć.

Jak wyglądało Twoje zderzenie z tą zakłamywaną przez media rzeczywistością?

To było wielkie pozytywne rozczarowanie. Chociażby Iran, który jest przedstawiany w mediach jako kraj terrorystów, a ludzie tam mieszkający czyhają na życie obcokrajowców. A tutaj nagle okazuje się, że jest zupełnie inaczej – to, co pokazują w telewizji, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Irańczycy to są otwarci, życzliwi, super gościnni ludzie. Tak samo jest w Pakistanie, Indiach... Terrorysty to niewielka grupa ludzi, nie spotkałem się na miejscu z proble-

mem terroryzmu.

Wspólnie z żoną Anią prowadzisz w bardzo niebanalny sposób zajęcia dla dzieci. Czego uczycie?

Uczymy ich różnorodności świata, o religiach – troszeczkę o islamie i buddyzmie, żeby zrozumieli, na czym polega między nimi różnica. Uczymy, jak żyją dzieci w innych zakątkach świata, jak wygląda ich szkoła, codzienność, dlaczego muszą pracować, jakie mają problemy. A przy okazji na przykład, jak postugować się chińskimi pałeczkami.

Mógłbyś opowiedzieć o fundacji „Szkoła na końcu świata”, którą prowadzisz?

Tak naprawdę jest nas siedmioro, wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. Jest to fundacja, którą nazywamy humanistyczną. Podkreślam: nie humanitarną tylko humanistyczną. Naszym zadaniem jest rozbudowanie tybetańskiej szkoły w Nepalu. Podjęliśmy się tego, gdyż rząd nepalski wspomaga tylko szkoły nepalskie. Rządu tybetańskiego nie ma jako takiego, więc nie ma kto wspomóc tej szkoły. Wyszliliśmy z założenia, że jeżeli my tego nie zrobimy, to nikt tego nie zrobi. Bez pomocy z zewnątrz, ku uciesze chociażby Chińskiej Demokratycznej Republiki Ludowej, ta kultura by umarła. Nie chodzi tutaj o wybudowanie tylko czterech ścian i dachu. Naszym zadaniem jest rozbudowanie szkoły tak, by była ona samowystarczalna. Kiedyś my odejdziemy, zestarzejemy się lub znudzimy się tą fundacją, a oni nawet tego nie zauważą i dalej będą sobie dobrze funkcjonować.

Dziękuję za rozmowę i za przyjęcie zaproszenia do Radzyna.



Jarosław Kret – urodzony 4 grudnia 1963 r. w Warszawie. Studiował egiptologię na Uniwersytecie Warszawskim. Spędził rok na stypendium na Uniwersytecie Kairskim. Pracę dziennikarza rozpoczął w 1992 r., współpracował z lokalnymi gazetami i dziennikami. Rok później został prezenterem i reporterem Wiadomości Warszawskich w stacji Nowa Telewizja Warszawa. Następnie pojawił się w Tele-*expressie*.

W późniejszych latach dziennikarz realizował swoje autorskie programy dotyczące największej pasji – podróży („Klub Podróżników”, „Kino Klubu Podróżników”). Od 2002 r. pracuje jako „pogodynek” w TVP. W 2005 r. zadebiutował jako prezenter radiowy, prowadząc sobotnie wydanie popularnego „Lata z Radiem”. W latach 2009-2011 prowadził autorskie programy podróżnicze „Planeta według Kreta” i „Podróże z barometrem”, a od września 2011 prowadzi na antenie TVP Info cykliczny program pt. „Polska według Kreta”.

Autor licznych reportaży, filmów dokumentalnych i książek podróżniczych, m.in. „Kret na Pogodę”, „Moja Ziemia Święta”, „Madagaskar”, „Moje Indie”, „Planeta według Kreta”, „Mój Egipt” oraz wydana w tym roku „Polska według Kreta”. W styczniu 2012 r. otrzymał „Telekamerę” w kategorii „Prezenter Pogody”.

Gość nie tylko od pogody

Ponad 700 osób przybyło w piątek 7 grudnia do I LO na spotkanie z Jarosławem Kretem – znanym prezenterem pogody, przede wszystkim podróżnikiem i autorem książek podróżniczych. Gość z wielką swadą, poczuciem humoru i dystansem wobec siebie opowiadał zarówno o swojej drodze do dziennikar-

stwa i realizowania marzeń o podróżach do egzotycznych krajów, jak i o problemach współczesnego zglobalizowanego świata.

Podkreślał m.in. potrzebę otwarcia, zrozumienia ludzi z różnych zakątków świata, żyjących w różnych klimatach, wyrosłych w różnych kulturach. – Wszędzie ludzie są tacy sami, różnią nas obyczaje wynikające z przystosowania się do odmiennych warunków klimatycznych – mówił Jarosław Kret.

Spotkanie zostało zorganizowane przez Stowarzyszenie „Radzyń”, Radzyńskie Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych oraz Szkolne Koło Krajoznawczo-Turystyczne PTTK nr 21 przy I LO w Radzynie, którego opiekun Robert Mazurek przypomniał, że jest to kolejna impreza z cyklu „Radzyńskie spotkania z podróżnikami”. – Głównym ich celem jest poznanie dalekich, egzotycznych, tajemniczych miejsc, odległych geograficznie i kulturowo. Zaproszeni goście to pasjonaci, którzy w niekonwencjonalny sposób przemierzają świat, marzą i nie boją się dążyć do realizacji tych marzeń – mówił R. Mazurek.

Jarosław Kret – powitany entuzjastycznie przez widownię – pierwszą część opowieści poświęcił własnej biografii, pouczającej szczególnie dla tych młodych, którzy jeszcze nie odnaleźli swego życiowego powołania. W jego przypadku najpierw były marzenia o zawodzie leśnika, o robieniu filmów przyrodniczych, klasa w liceum o profilu biologiczno-chemicznym, a po „zmianie profilu kosztem roku nauki” (na humanistyczny) i ukończeniu szkoły – studia: filologia klasyczna, gdzie studiował ...dwa tygodnie, i egiptologia. Decydujące o dalszym życiu okazało się stypendium w Egipcie odbyte w latach

1988-89.

Długie, kilkudziesięciostronicowe listy o egzotycznym, niezrozumiałym kraju pisane do rodziny i przyjaciół w Polsce pomogły mu odkryć swe powołanie. – Wówczas zaświtało mi, co chcę robić – wyznał słuchaczom podróżnik. – Przyszło mi do głowy, żeby zostać dziennikarzem.

W erze przedinternetowej wystarczyło świat pokazywać. Teraz każdy ma dostęp do obrazów z najdalszych zakątków świata. Pojawiło się nowe zadanie: Zgłębiać, rozumieć, wyjaśniać innym procesy, które tu mają miejsce – mówił Jarosław Kret. – Staram się tak napisać książkę, zrealizować film, żeby odbiorca mógł się łatwiej dogadać z obcym. Ludzie wszędzie są tacy sami. To, co różni mieszkańców krajów dla nas egzotycznych, wynika z różnic klimatycznych – stwierdził podróżnik.

Uczestnicy spotkania mogli przymerzać różne elementy strojów noszonych na Bliskim Wschodzie. Jarosław Kret wyjaśniał ich funkcję: czador na głowie kobiety chroni przed palącym słońcem, piaskiem. Męski strój noszony w Turcji, Iranie stał się wzorem narodowego stroju szlachty polskiej – żupana, a w konsekwencji współczesnego kroju powszechnej na świecie marynarki męskiej. Młodzież z zainteresowaniem słuchała opowieści o kolejnych przemianach w ubiorach. Podobnie kurta – kurtka, kamis – kamizelka. Wiele potraw uważanych za nasze narodowe: bigos czy gołąbki – spotkał, choć w nieco innej formie, na Bliskim Wschodzie. Dziennikarz wyjaśnił również, np. dlaczego Europejczycy lubią porządek, ludzie Wschodu dobrze się czują, gdy mają wokół siebie bałagan.

Ostatnią część swej opowieści po-

święcił Madagaskarowi. Ta część zabrzmiała dramatycznie: – Mordują Madagaskar. Wielka wyspa o powierzchni dwa razy takiej jak Polska umiera. – W ciągu ostatnich 50 lat wycięto 70% lasów. Wyspa zmienia się w pustynię. Dramatyzm tej sytuacji powiększa fakt, że 90% fauny Madagaskaru to gatunki unikatowe, żyjące tylko na tej wyspie.

Jakie z tego wnioski? – Powinniśmy mieć świadomość tego, co się dzieje na świecie, wyrzec poza własne problemy, żeby nie obudzić się, gdy już nie będzie czym oddychać – mówił podróżnik.

Podczas spotkania można się było naocznie przekonać, że pan Jarosław – znany głównie jako “pogodynek” jest osobą bardzo ekspresyjną, kontaktową, charakteryzuje się wielkim poczuciem humoru, ma wielki dystans do swojej osoby. A więc jest poza ekranem taki, jakiego znamy z prognoz pogody i jakiego polubili widzowie, czego dowodem jest „Telekamera” przyznana w tym roku dziennikarzowi.

„Dzisiejsze spotkanie to wielkie wydarzenie w naszej szkole” – podsumował Tadeusz Pietras, dyrektor I LO – Usłyszeliśmy cudowną opowieść, a element biograficzny może posłużyć jak lekarstwo dla tych, co dłużej poszukują swojej drogi życiowej.

Jako prezent Jarosław Kret otrzymał pamiątkową koszulkę z napisem: „Kocham Radzyń Podlaski”. Wiemy, że wielkie wrażenie zrobił na podróżniku Pałac Potockich.

Podczas spotkania można było kupić książki Jarosława Kreta „Mój Egipt” i „Moje Indie”. Autor długo wypisywał dedykacje, rozdawał autografy, cierpliwie i z humorem pozował do zdjęć.

Anna Wasak

Przede wszystkim jestem reporterem.

Z Jarosławem Kretem rozmawia Robert Mazurek

W czasie pobytu w Radzynie miałeś okazję obejrzeć Pałac Potockich. Co o nim sądzisz?

Fenomenalny! Fenomenalny! Jest przepiękny, to naprawdę чудо! Myślę, że ta wasza perełka mogłaby ściągać mnóstwo turystów. Należy go tylko inteligentnie zagospodarować. Poza tym nie spodziewałem się, że jest w tak dobrym stanie.

Podczas spotkania z mieszkańcami Radzyna Podlaskiego i powiatu radzyńskiego przedstawialiśmy Cię jako prezentera telewizyjnego i autora książek podróżniczych. Czujesz się bardziej dziennikarzem czy podróżnikiem?

Nie uważam się za podróżnika. Jestem przede wszystkim reporterem. Zawodowo jeżdżę po świecie, żeby zdobywać wiedzę na temat miejsc, w których przebywam, a

następnie tę wiedzę przelewam na papier albo wrzucam do kamery lub aparatu fotograficznego.

Moje książki też nie są typowymi książkami podróżniczymi, bo nie są to relacje z podróży. Wyjątek stanowi „Planeta według Kreta”, która zawiera felietony i opowieści z różnych miejsc na świecie. Uważam, że takie książki podróżnicze, jakie znam z dzieciństwa, w tej chwili już nie istnieją – ta forma tradycyjna przeniosła się do Internetu, ma formę blogów podróżniczych.

Natomiast już „Mój Egipt” czy „Moje Indie” to nie są książki podróżnicze. Zawarłem w nich nie relacje, wrażenia z podróży, ale wiedzę o tych krajach. A to duża różnica. Stanowią one efekt mojego długiego pobytu w tych miejscach. Zarówno w Indiach jak i w Egipcie spędziłem po kilka lat, mieszkając w tamtej rzeczywistości.

Z wykształcenia jesteś egiptologiem. Skąd w ogóle pomysł na taki zawód?

Po zdaniu matury przypadkiem zacząłem studiować filologię klasyczną. Przez przy-



Fot. Grzegorz Blicharz

padek też spotkałem koleżankę, która dostała się na egiptologię. Gdy mi o tym powiedziała, stwierdziłem, że ten kierunek bardziej by mi odpowiadał, bo tam było niewiele godzin zajęć (śmiech), a jednocześnie takie słoneczne perspektywy (śmiech)! Zacząłem więc studiować egiptologię, nie mając kompletnie świadomości, co to jest. Po ukończeniu tego kierunku można było zostać naukowcem, który zakopie się w książkach i będzie żył za 1,5 tys. zł na miesiąc w Warszawie (co wcale nie jest takie łatwe), albo potraktować to jako poszerzenie wiedzy ogólnej i trampolinę w kierunku dalszych studiów. Tak też zrobiłem. Równolegle studiowałem też archeologię śródziemnomorską (przez dwa lata) i afrykanistykę, potem jeszcze kulturoznawstwo.

To mi dało podwaliny do lepszego samopoczucia intelektualnego, do tego, żeby bez kompleksów ruszyć w świat i próbować go rozumieć; do konfrontowania teorii z praktyką.

Czy jakiś kraj lub miejsce fascynuje Cię tak mocno jak Indie i Egipt?

Jest jeszcze kilka takich miejsc na świecie. Przede wszystkim jest to Amazonia. Niestety, ogarnia mnie przerażenie, gdy widzę, jak ten obszar powoli ginie. Bardzo chętnie wracam również na Madagaskar. Jest to dla mnie szczególne miejsce, w którym bardzo się już zakorzeniłem. Właśnie kończę pisać na ten temat książkę, która pojawi się w przyszłym roku.

Turystyka niszczy świat czy go zmienia pozytywnie? Jakie jest Twoje zdanie na ten temat?

Nie ma jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czy turystyka ma dobry czy zły wpływ na świat. To wszystko zależy od tego, kto tę turystykę w danym miejscu i czasie rozwija. Z jednej strony turystyka przyczynia się

do dynamicznego rozwoju wielu miejsc, ale z drugiej – potrafi niszczyć. Jest też trzecia strona: turystyka potrafi utrzymać niektóre miejsca w idealnej kondycji i idealnej relacji z tym, co się dookoła dzieje. Przykładem jest Austria, która przez cały rok oferuje miejsca do odpoczynku i do zwiedzania, i przez cały rok czerpie korzyści z turystyki.

Z kolei Egipt rozwinął się turystycznie, ale tylko w jednej niszy. Spójrzmy też na Madagaskar, gdzie nie ma żadnej infrastruktury do uprawiania turystyki. A szkoda, gdyż najprawdopodobniej pomogłaby ona w ocaleniu pozostałości tego żywego, niezwykle go i niespotykanego nigdzie w świecie laboratorium biologicznego. Bez infrastruktury turystycznej wszystko dąży w kierunku szybkiego zniszczenia Madagaskaru.

Czy mógłbyś polecić wszystkim jedno piękne miejsce na wycieczkę?

To jest problem, gdyż nie wszystko to, co mi się podoba, może się podobać innym. Fajne miejsce na wycieczkę zawsze znajdziemy – jak się dobrze rozejrzymy to prawie wszędzie dookoła nas jest ich pełno. Najważniejsze jest dobre towarzystwo (śmiech). Miejsce nie jest tak bardzo ważne jak to, z kim jedziemy i z kim możemy podzielić się naszymi refleksjami. Nie powinniśmy jeździć gdzieś w świat czy w okolicę tylko po to, żeby przyglądać się temu, co nas otacza i zatrzymywać to dla siebie. Jedźmy z kimś bliskim. Odnajdźmy też w tym kimś pasję do poznawania tej okolicy i do zakochania się w otaczającym nas świecie. To przede wszystkim ludzie wypełniają miejsca. Jedźmy nawet do piekła, aby tylko w dobrym towarzystwie.

Dziękuję za rozmowę i za przyjęcie zaproszenia do Radzyna Podlaskiego.

Dziękuję, było cudownie – wróć tu z chęcią!



Stefan Czerniecki – urodzony 31 sierpnia 1983 r. w Warszawie. Podróżnik, dziennikarz, autor książek „Dalej od Buenos” i „Cisza” oraz były członek Alpinus Expedition Team. Eksplorator dziewiczych rejonów świata – przede wszystkim ukochanej przez niego Ameryki Południowej. Teksty jego autorstwa publikują m.in.: „Rzeczpospolita”, „Nowe Państwo”, „Gazeta Polska Codziennie”, „Polonia Christiana”, „nrm”, „National Geographic-Traveler”, „Podróże” i „Poznaj Świat”.

Gdy opuszcza granicę kolejnego państwa, jego notatnik (mocno zdezelowany zeszyt, któremu codziennie musi poświęcić przynajmniej pół godziny) zawsze jest bogatszy nie tylko o kilkanaście nowych adresów, maili, telefonów oraz obietnic kolejnego spotkania, ale także wzruszających emocji i spotkań z pięknymi ludźmi. „Ja po prostu mam bardzo dobrego Anioła Stróża” – powtarza, gdy pytają go, jak udało mu się przeżyć te wszystkie spisywane przygody.

Jak sam mówi, dług zaciągnięty u Szefa na Górze, spłaca pokazami zdjęć, fotoreportażami, artykułami, inspirowaniem ludzi do poznawania nowego. Ułatwianiem przeniesienia się – choćby oczyma wyobraźni – w miejsca dalekie i egzotyczne tym wszystkim, którzy mieli trochę mniej szczęścia od niego w eksploracji świata.

To była podróż po dywanie Anioła

Niezwykłej opowieści Stefana Czernieckiego o Wenezueli wysłuchali zebrani w piątkowy wieczór 8 marca w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Radzynie. Ponad dwugodzinnej gawędy słuchało się z zapartym tchem – nie tylko dzięki jej tematowi, ale także – nie-

zwykle barwnej postaci młodego podróżnika tryskającego energią i humorem, mającego niezwykle dar obrazowego opowiadania i zmysł autoironii. Sam Stefan Czerniecki swą opowieść podsumował: „To była podróż po dywanie Anioła” – bo dzięki szczęśliwym zbiegom okoliczności... udało mu się przeżyć, choć kilkakrotnie żegnał się już z życiem.

Zaplanowana kilka miesięcy temu wizyta w Radzynie okazała się strzałem w dziesiątkę. Temat Wenezueli jest w ostatnich dniach niezwykle aktualny z powodu śmierci Hugo Chaveza, ciągle powraca w doniesieniach medialnych.

Stefan Czerniecki odwiedził Radzynie w ramach kolejnej edycji „Radzyńskich spotkań z podróżnikami”. Organizatorzy spotkania to Miejska Biblioteka Publiczna w Radzynie, Szkolne Koło Krajoznawczo-Turystyczne PTTK nr 21 przy I LO w Radzynie, Radzyńskie Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych oraz Stowarzyszenie „Radzynie”. Patronat medialny objął portal RadzynInfo.pl

Witając przybyłych na spotkanie, Robert Mazurek przedstawił Stefana Czernieckiego jako pasjonata i marzyciela, któremu udało się zrealizować cel nieosiągalny: dotrzeć do dziewiczego regionu Amazonas. Być może jest pierwszym Polakiem, który postawił tam nogę. A na pewno jednym z pierwszych białych, któremu udało się to zrobić od kilkunastu lat, od kiedy wenezuelski reżim nie pozwala na eksplorację tych rejonów.

Panie otrzymały kwiaty z okazji Dnia Kobiet, a wszyscy mieli możliwość zakupienia książek Stefana Czernieckiego: „Dalej od Buenos” i niedawno wydanej „Ciszy”.

Caracas – miasto panicznego strachu

Podczas dotychczasowych spotkań goszczący w Radzynie podróżnicy twierdzili, że przemierzając różne zakątki świata czuli się bezpiecznie. Stefan Czerniecki, który podczas pobytu w Wenezueli kilkakrotnie stanął oko w oko ze śmiercią, nie krył prawdy o tym kraju: atmosfera miejskiej dżungli stworzonej przez reżim i wyrosłe na tym gruncie gangi jest bardziej niebezpieczna niż ta stworzona przez przyrodę. Naiwny, a zasobny turysta, który wylądował na lotnisku ok. 30 km od stolicy, może mieć problemy z bezpiecznym dotarciem do Caracas. Bywa, że podróż taksówką kończy się dla niego wraz z życiem gdzieś w krzakach po drodze. Szacuje się, że współcześnie na ulicach Caracas w wyniku rabunków oraz porachunków mafijnych ginie około czterdziestu osób tygodniowo. – Po godzinie 18. ulice pustoszeją, zaczyna się czas mafijnych porachunków. Caracas to miasto panicznego strachu – podsumował podróżnik. I jeszcze czegoś: nędzy. – Wenezuela – kraj miodem i mlekiem płynący, został doprowadzony przez reżim Chaveza do skrajnej biedy – mówił Stefan Czerniecki. Państwo ma olbrzymie bogactwa naturalne, które służą przede wszystkim do utrzymania reżimu. I pomocy „braterskim gospodarkom”, jak choćby ta nieodległa, kubańska. Przyczyna takiej „ofiarności”: „Tam się kocha komunizm”.

Jak żyją ludzie bogaci? Stefan Czerniecki podał przykład architekta polskiego pochodzenia, który mieszka w domu-twierdzy, od dwóch lat nie wyszedł poza swoje domostwo.

Słodkie „maniana”

Inaczej żyje się poza stolicą. Kolejnym miejscem, które odwiedził Stefan Czerniecki było niewielkie miasteczko Mantecal. Dopiero tam obserwował typowe życie Latynosów, których głównym zajęciem jest „nicnierobienie”. – Wy macie zegarki, my mamy czas – mówią do Europejczyków. Godzinami siedzą i patrzą przed siebie. Receptą na pośpiech jest jedno słowo – maniana, czyli jutro. – I są szczęśliwi – dodał Stefan.

Celem Czernieckiego były niedostępne tereny Amazonas: – Uprzedzono mnie – i w Polsce i w Wenezueli, że nie może się tam dostać biały człowiek, bo reżim strzeże swych tajemnic: znajdują się tam kopalnie złota, srebra, uranu, których dochód służy utrzymaniu wojska i reżimu.

Drugim powodem tego, że tylko straceńcy wybierają się w te tereny, jest ich położenie na pograniczu trzech państw, w miejscach niedostępnych. Te czynniki sprawiają, że jest to raj dla karteli trudniących się produkcją i przemytem kokainy.

W tym miejscu pojawiła się dygresja na temat sąsiadującej z Wenezuelą Kolumbii. – Był to do niedawna najgorszy kraj w tym rejonie: pełen grozy i zła – wyłudzeń, porwań, narkotyków. Tak było, aż rządy przejął Alvaro Uribe. Człowiek który postawił na wolny rynek, „wywalił komunistów na zbity ryj”. Nagle w ciągu 5 lat Kolumbia wyszła na prostą. W pierwszym zdaniu nowej konstytucji kraj został powierzony Chrystusowi. Była nagonka komuny, ale Uribe się nie dał. Po kilku tygodniach stał się cud: w kraju, opartym do niedawna przez gangi

narkotykowe, mieszkańcy oddali się w opiekę Chrystusowi, a z dżungli zaczęła wychodzić partyzantka, oddawać broń i prosić o amnestię – opowiadał Stefan Czerniecki. W Wenezueli jest coraz gorzej: nie ma pracy, nie ma żywności, panuje wojskowy reżim...

Jednak mimo przeciwności podróznik z towarzyszami dotarł do dżungli. Pomógł im w tym przypadek. Okazało się, że księgarz z Puerto Ayacucho, u którego kupili książkę dla zabicia nudy, ma koligacje i znajomości, które doprowadziły aż do generała mogącego takie zezwolenie wydać.

W dżungli jest niefajnie

Celem wyprawy były góry stolowe w sercu dżungli zwane tepui. Podróżników czekało kilkanaście dni płynięcia rzeką Orinoko – barką, łódką, pirogą. Ze świadomością niebezpieczeństwa czyhającym na każdym kroku – ze strony spotkanych żołnierzy i otaczającej przyrody. Szczególnie mrozące krew w żyłach były opowieści o anakondach, a także – piraniach, kajmanach. I o bardzo dokuczliwych wielkich mrówkach oraz muszkach puri puri.

„W dżungli jest niefajnie: wilgotno, jakby się szło pod ciepłym prysznicem; hałas taki, że łeb pęka, gorąco, ciemno i niebezpiecznie” – podsumował wędrówkę podróżnik.

W pogodniejszym tonie była jego opowieść o mieszkańcach tamtego terenu: charakteryzujących się życzliwością, ciekawością świata i racjonalnością. Trudno było znaleźć przewodnika, który poprowadziłby na szczyt góry. Praktyczny Indianin nie widział sensu takich wyczynów. Nie chciał iść za żadne skarby świata – wreszcie się

skusił – za kalosze.

Podczas spotkania można było usłyszeć wiele ciekawostek o życiu Indian. Więcej czasu Stefan Czerniecki poświęcił roli szamana w wiosce. „Szamani z jednej strony spełniają pozytywną rolę: są lekarzami, mędrkami, filozofami, ale... ich zachowania i wiedza świadczą o kontakcie z demonami (w środku dżungli tamtejszy szaman zaczyna mówić czystą polszczyzną, ma wiedzę o tym, co dzieje się w miejscach dla niego niedostępnych itd.)” – mówił podróżnik. Wskazał też niebezpieczeństwo wchodzenia współczesnych Europejczyków w tę rzeczywistość, co często kończy się różnymi formami opętania. Świadczą o tym wydłużające się kolejki do egzorcystów.

Podczas opowieści Stefan Czerniecki prezentował zdjęcia: przyrody – egzotycznych zwierząt, malowniczych zachodów słońca, gór, najwyższego w świecie wodospadu, a przede wszystkim – spotkanych ludzi. – Najpiękniejszy w podróży jest drugi człowiek, relacja z nim, jego śmiech, jego płacz – podsumował podróżnik.

Po zakończeniu opowieści była okazja do zadawania pytań. Słuchacze chcieli wiedzieć, jak się podróżnik porozumiewa z Indianami, co robią podróżnicy w razie choroby, jakie są dalsze plany podróżnicze. Można też było zakupić książki z autografem autora.

Anna Wasak

Podróżuję dla poznania siebie, Boga i drugiego człowieka

Ze Stefanem Czarnieckim rozmawia
Robert Mazurek

Twój ojciec był alpinistą. Czy jego pasja miała wpływ na twoje wybory życiowe? Czy to on zaszczepił ci podróżniczego bakcyła?

Oho! Widzę, że jak większość czytelników w Polsce zaczynasz lekturę... od końca, czyli od tylnej okładki (śmiech). No, tak... Faktycznie, w biogramie „Dalej od Buenos” jest napisane, że podróżniczą pasją zaraził mnie ojciec-alpinista. Wszystko się zgadza. I mogę to teraz tylko potwierdzić. To on mnie nauczył, jak się śpi w namiocie w puszczy. Jak się rozpala ognisko. Jak zrobić sobie wodę z deszczówki. Wiesz... Takie typowe harcerskie zabawy. I to był początek. Myślę, że bez tego nic dalej by nie ruszyło. To była podstawa. Swego rodzaju fundament. Potem były pierwsze – przyznam, że początkowo mocno wymuszone – wycieczki w góry. Pierwsze kroki na ściankach wspinaczkowych. A dalej jakoś się już potoczyło. Trzeba było odciąć pępowinę i ruszyć w świat. Już na własną rękę. I tak to trwa do dzisiaj.

Na twojej stronie internetowej piszesz o sobie, że jesteś „pasjonatem z misją”. Co uważasz za swoją misję? Jak to realizujesz przez podróż?

Widzisz, to bardzo proste. Każdy z nas rodzi się z pewnego rodzaju powołaniem. Misją do spełnienia. Mocno w to wierzę. Ufam, że Pan Bóg tak to wszystko poskładał, że każdy z nas ma jakąś wyjątkową na swój sposób i na miarę swoich sił misję do spełnienia. Dla ciebie może to być np. misja założenia rodziny i wychowania dwóch synów, z których jeden w przyszłości da życie jakiemuś wyjątkowemu i charyzmatycznemu przy-

wódcy. Nie wiem. Strzelam. Inny będzie miał misję wyciągania ludzi z największego bagna. Wystuchiwania ich. Jeszcze inny odnajdzie swoją misję w graniu w piłkę, bo akurat taki talent dostał „z Góry”. I tym bawi ludzi i sprawia, że czują się lepiej. Ja natomiast... Hmm... No, właśnie. Ja natomiast swojej misji szukałem dość długo. Imiałem się różnych rzeczy. Niby lubiłem to, co robię, ale to nigdy nie było „TO”. To się bowiem czuje. Po minach twoich współpracowników, ludzi, z którymi obcuje, żyjesz – widzisz, jak oni reagują na twoją misję. Ja dopiero niedawno po którymś z moich spotkań podróżniczych usłyszałem od przyjaciela: „Stary, jak dziś na ciebie patrzyłem, to już wiedziałem. To jest to. Znalazłeś”. Do tego jeszcze szczypta pasji i mamy „pasjonata z misją”, o którym wspomniesz. A jak to realizuję w praktyce? Wiesz... Nie ma piękniejszej chwili niż ta, w której widzisz np. wzruszający uśmiech na dziecięcej buzi po pokazie. Choć nie zawsze musi być to dzieciak. Pamiętam, jak po jednym z pokazów – to chyba było w Płocku – podeszła do mnie starsza pani i z takim poczytym i radosnym spojrzeniem powiedziała mi na osobności: „Ależ mi pan frajdę zrobił tymi opowieściami”. To jest moja misja. Zarazić ludzi tym, co robię. Pokazać inne miejsca. Pobudzić wyobraźnię. Przenieść, choćby na chwilę, w miejsca dalekie. Egzotyczne. Takie, do których być może część z nich nigdy nie pojedzie.

Podczas spotkania z mieszkańcami Radzyna Podlaskiego i powiatu radzyńskiego będziesz opowiadał o swojej podróży do Wenezueli. Jak to się stało, że tam pojechałeś?

Ależ zadajesz pytania! (śmiech) I jak mam na to odpowiedzieć w kilku zdaniach? Zapraszam na pokaz... A tak poważnie: w wielkim skrócie wyglądało to w ten sposób,



Fot. Grzegorz Blicharz

że zostałem zwycięzcą I Memoriału im. Piotra Morawskiego. W jego ramach kapituła konkursu uznała mój pomysł za najbardziej szalony i taki, który chyba ma najmniejsze szanse realizacji. A jeśli już, to raczej zrobi to taki nieco nienormalny facet jak ja, a nie jakiś stateczny Pan Podróżnik. Zatem pojechałem do Wenezueli. Do dziewiczego regionu Amazonas. Tam, gdzie Chaves bardzo nie lubi wpuszczać białych...

Mówi się, że są to rejony bardzo niebezpieczne. Czy nie bałeś się tam jechać?

Czy ja się bałem? Ja miałem całe portki mokre od strachu. Powiem ci coś jeszcze. Na kilka dni przed wyjazdem miałem bardzo mocne postanowienie, aby oddać bilety lotnicze, oddać pieniądze sponsorowi i dać sobie z tym wszystkim spokój. Tak bardzo się bałem. Myślałem sobie: „Stefan, a na co ci to? Tu masz rodzinę, przyjaciół... Warto ryzykować?” Wówczas jednak dostałem – mówię zupełnie serio – kilka bardzo mocnych i jednoznacznych znaków, że mam jechać. Dziś, gdy patrzę na to z perspektywy czasu, wiem, że to było przynaglenie mojego Szefa z Góry. „Ej, ty mi tam nigdzie się teraz nie wycofuj... Jedziesz tam. I nic się nie martw. Będzie ok.”. I faktycznie. Miał rację. Jak zwykle zresztą. A my dziś możemy rozma-

wiać o mojej wyprawie (a właściwie naszej, bo byłem tam ze Ś.P. Kubą).

Czy ta wyprawa zmieniła ciebie, twoje widzenie świata?

To się dzieje praktycznie po każdej wyprawie. Po każdej podróży wracam z czymś nowym w serduchu. Właściwie można by rzec, że robię to wszystko właśnie dla tego poznania. Siebie, Boga i drugiego człowieka. To jest podczas tych ekspedycji najbardziej ciekawe. A potem staram się to jakoś przełożyć na nasze warunki. Podczas pokazów chociażby... Mam nadzieję, że i Państwo to odczuja.

Ameryka Południowa to twój ulubiony teren do podróży. Dlaczego?

Bo tam się czuję jak owca w stadzie owiec. Jak wilk wśród watahy wilków. Jak... No, już nie wiem. Może opowiem to na podstawie pewnej historyjki. Słuchaj, jak sam widzisz, jestem osobą nieco ekstrawertyczną. Dużo gadam, wiercę się, macham rękami, gestykułuję, krzyczę, itd... Tutaj, w Polsce, ludzie często zwracają mi uwagę, że zachowuję się nazbyt hałaśliwie – tak to delikatnie ujmę. Koledzy w tramwaju, gdy jedziemy, zwracają mi uwagę, że od kilkunastu minut pół tramwaju się na nas gapi i mi się przysłuchuje. A jak pojechałem pierwszy raz do Buenos Aires... To... To byłem taki maciupęńki, że hej! Nikt mnie nie słyszał, nikt mnie nie widział. Wszyscy byli dwa razy głośniejsi. Jeszcze więcej gestykulowali. Jeszcze więcej się wiercili. Poczutem się jak u siebie! I się w pewien sposób uzależniłem. Od tego ładu i od tych ludzi.

Jak określiłbyś swoją pierwszą książkę pt. „Dalej od Buenos”: jest to przewodnik czy raczej humorystyczna, komediowa opowieść o podróży po Ameryce Łacińskiej?

Ech... Z tym przewodnikiem to walczę i walczę... Pan Wojciech Cejrowski, w którego serii powstała ta książka, napisał w swojej recenzji, że można tę książkę potraktować jako przewodnik. Owszem, zaraz potem dodał, że także jako „zabawną komedijską spisana przez wędrującego po Ameryce Południowej”. Sęk w tym, że większość ludzi zapamiętuje tę pierwszą część... A szkoda... Osobiście uważam te wszystkie moje wtrącenia w książce o cenach, o sposobach dotarcia w różne dalekie miejsca jako najmniej istotną część całości. Dużo bardziej chciałem przenieść Czytelnika w inny świat. Unocznic, jak to jest, gdy patagoński wiatr wieje tak mocno, że przewraca nawet osiemdziesięciokilogramowego faceta z plecakiem. Jak to jest, gdy człowiek jest sam w namiocie w dżungli, a wokoło niego kilkadziesiąt kleszczy. Wśród nich część swobodnie paradykująca już po moim ciele, a z nich ostateczna „szczęśliwa trzynastka” znajdująca drogę do mojej krwi, wbijając się niepostrzeżenie – po szczegóły zapraszam do książki. Chciałem także, by Czytelnik poczuł, jak pachnie dżungla w parku El Rey. Jak to jest, gdy spędza się karnawał z Indianami, gdy wokoło upań i tańce. A nade wszystko pragnąłem, by ta książka budziła taki uśmiech na twarzy, aby niejeden zaczął się śmiać podczas lektury na głos. I wiesz co? Dostałem już kilka takich maili od zupełnie nieznanymi mi osób, z których to maili wynikało, że chyba mi się udało. Śmiali się. Ponoć do rozpuku. Wszędzie. W tramwaju, w metrze, w autobusie... Super! Tak miało być.

Czy podczas swoich wypraw udało ci się spotkać ciekawych ludzi - takich, których nie mamy szans spotkać u nas w Polsce czy Europie?

Wiesz... Ciężko mi to odnosić do Europy. Bo nie będę ukrywał, że sam nie poznałem

jeszcze na tyle dobrze naszego kontynentu, by tytułować się jakimś specjalistą. Wręcz przeciwnie. W ogóle wolałbym uciekać od takich skojarzeń, że „Czerniecki wie to i tamto. On się zna”. Ja za wielki żółtodziób jestem, żeby takie wyroki ferować. Mogę tylko powiedzieć, że faktycznie: podczas tych wszystkich eskapad spotkałem masę fantastycznych ludzi. Od prawdziwych macho, którzy jak się śmiali, to się śmiali. A jak płakali, to płakali. Przez uroczę indiańskie dzieci, które badały organoleptycznie, jak wygląda ciało białego... Po przepiękne dziewczyny spacerujące ekwadorskimi plażami. Ale o tym już w następnej książce. A ta za chwilę. Zresztą, pokaz w Radzynie będzie de facto pierwszym, w trakcie którego będę mógł oficjalnie przyjechać już z dwiema książkami.

Najbardziej nieprawdopodobna historia z twoich podróży to...

Oj, zebrałoby się... Niezwykle było pod argentyńską iglicą Cerro Torre, gdy to góra pozostająca statystycznie przez 28 dni w miesiącu w chmurach, odstoniła mi nagle całe swoje piękno. Nieprawdopodobnie było u Indian plemienia Yekuana (o tym jednak na pokazie). Dość niebezpiecznie było na Orinoko, gdy byliśmy oskarżani o kradzież złota. Większość przygód wolę jednak zostawić sobie jako asy w rękawie. Sam rozumiesz... Książki. Pokazy. Muszę jakoś Państwa przyciągnąć... (śmiech)

Spotkanie w Radzynie Podlaskim jest pierwszym promującym twoją najnowszą książkę pt. "Cisza". O czym ona opowiada?

W „zajawce” opisano ją jako książkę o „Indianach, andyjskich Andach, ekwadorskiej rumbie oraz o pewnym Aniele”. Tak, ten Ktoś był niesamowity. Jak i cała wyprawa. Prawdziwa Przygoda w Peru i Ekwadorze.

Taka przez wielkie „P”. Mocna, prawdziwa i pozostająca na długo w pamięci. Będzie o słynnym Machu Picchu. Ale tak inaczej. Po mojemu. Będzie o indiańskich kombinatach. O surowych góralach Cordillery Huayhuash. O inkaskich wierzeniach. O dżungli i gonitwie za pewnym wężem... Będzie się działo. A dlaczego cisza? Tego nie mogę zdradzić. Muszą Państwo sami sprawdzić.

Dziękuję za rozmowę i za przyjęcie zaproszenia do Radzyna.